



ŁOWY

Marta Tarasiuk



ŁOWY

ŁOWY

Marta Tarasiuk



Białystok 2013

Skład i łamanie druku

Marta Tarasiuk

Korekta

Henryka Chojnowska

Urszula Iwona Augustyniak

Redakcja

Henryka Chojnowska

Marta Tarasiuk

Oprawa graficzna

Marta Tarasiuk

Wydawca

Marta Tarasiuk

Wydanie I

ISBN: 978-83-936594-0-1

Copyright © by Marta Tarasiuk, 2013

All rights reserved.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Niniejsza darmowa publikacja może być kopiowana oraz dowolnie rozpowszechniana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez Wydawcę. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w publikacji bez pisemnej zgody Wydawcy. Zabrania się odsprzedaży oraz jakiegokolwiek innej formy czerpania zysków materialnych z niniejszej publikacji.

Valravn



Cóż teraz, królu?

Gdzie twoje wojsko? Lennicy? Dworzanie? Gdzież twa narzeczona? Jesteś tu sam. Porzucony w krzewach niczym pies bezpański leżysz. Oczy szeroko otwarte jeno pustkę widzą. Serce martwym głazem w piersi stoi. Koszula, niegdyś biała, kwitnie czerwienią. Na co ci teraz korona?

Cóż za wróg tego dokonał? Czy jak bohater w bitwie poległeś? Smok okrutny przebił twą pierś szponem? Pobił cię nieprzyjacieli przybyły zza morza? Dzieło to złego czarnoksiężnika? Nie! To twój brat własny ciosem zdradziecko zadanym miłość okazał.

Cóż teraz, królu?

Czy zaraz przybędą poddani? Łzami rzewnymi ranę śmiertelną obmyją? Lament podniosą? Do miasta ciało zabiorą? Godny pochówek przygotowują? Gdzież oni są? Jesteś tu sam. Gdzie ci, którzy mienili się być przyjaciółmi twemi?

Są! Przybywają jedyni żałobnicy – trzy kruki.

Żadna dłoń nie zamyka powiek, lecz martwe oczy już nie patrzą. Pierwszy ptak lewe wydziobuje, drugi prawe. Co z trzecim krukiem? Cóż się jemu dostanie? On dziób potężny w pierś

wbija. Wyjmuje serce. Połyka.

Wiatr po dolinie krakanie niesie, co śmiech przypomina.

– Dlaczego płaczesz, Birgitte? Przecież niczego ci nie brakuje. Oczy twe jak gwiazdy, włosy niczym łąn zboża, a w szkatule liczne klejnoty. Osusz więc swe lice. Obdarz świat uśmiechem. Nie płacz już, Birgitte.

– Jakże mam nie płakać? – rzeczesz. – Już osiemnasta wiosna mi mija, a ja nie mam narzeczonego!

– Nie masz? A twój luby – król Hákon? Jeszcze niedawno cię na rękach nosił, nieba gotów był ci przychylić. Co z nim?

– Hákon nie żyje.

– Nie żyje!? Jakże to?! Kiedyż był pogrzeb? Gdzież jego mogiła?

– Nie było pogrzebu. Nie ma mogiły. Król przepadł bez wieści. Od miesięcy go nie widziano. Och, ja nieszczęsna! Cóż teraz pocznę?

– Nie rozpaczaj, Birgitte! Może twój miły żyje? Może wkrótce powróci?

– Nawet jeśli, cóż z tego!?

– Ależ...?

– Hákon nazbyt długo nie dawał znaku istnienia. Utracił koronę. Nawet jeśli powróci, już jej nie odzyska. Teraz na tronie zasiada brat jego – Ryker. Zabiegałam o jego względy, lecz mnie odtrącił!

– A Hákon? Cóż z nim? Czyż go nie kochasz?

Ty w głos się śmiejesz.

– Hákon bez tronu równie dobry jak martwy. Czymże jest miłość wobec władzy?!

– Więc tego pragniesz – być królową? Jenó to się dla cię liczy?

– Tak!

Wtem, chociaż dzień to, słońce znika. Zapada ciemność. Nie ma gwiazd ni księżyca. Na gałęzi drzewa ogromny kruk siada. Pióra jego bardziej niżli noc czarne, dziób od miecza potężniejszy być się zdaje.

– Co byś dała, Birgitte – ludzkim głosem przemawia, – za bycie królową?

– Wszystko – bez namysłu odpowiadasz. – Magiczny ptaku, spraw, aby Ryker mnie swą małżonką uczynił, a dostaniesz, co zechcesz.

– Niech więc tak będzie – kruk rzecze. – Już niedługo będziesz królową.

Ptak odlatuje, słońce powraca. Myślisz, iż jeno ci się śniło.

Jeżeli to była zaledwie mara, Birgitte, dlaczego drzewo uschło?
Dlaczego, gdy wracasz do zamku, Ryker na kolana pada i o rękę
prosi?

Cóż to za wrzawa? Co to za hałasy?! Czyżby wojna jaka!?
Nie, to nie wojna, jeno święto wielkie. Królowa Birgitte
powiła dziecię. Król Ryker ma syna!

I jak tam, Birgitte? Czy jesteś radosna? Dostałaś wszystko,
czego pragnęłaś. Masz uwielbienie ludu oraz skarbiec pełen
dukatów. Na twojej głowie korona ze złota, a przy piersi dziecię.
O tak, radujesz się wielce. Jeno, czy o czymś nie zapominasz?

Oto, mimo południa, świat znów ciemnieje. Przez okno
ogromy kruk wlatuje.

– Witaj, Birgitte – ptak przemawia, – Pamiętasz o swym
przrzeczeniu? Ja mej części umowy dotrzymałem. Teraz pora
na ciebie. Przybywam po zapłatę.

– Błagam – odpowiadasz, – nie bierz zbyt wiele. Skarbiec
królewski świeci pustkami.

Birgitte, jak ty pięknie kłamiesz! Gdybyś zechciała, mogłabyś kąpać się w złocie, lecz żal ci rozstać się z chociażby jedną monetą. Nie musisz obawiać się o swe bogactwo, gdyż oto kruk odzywa się w te słowa:

– Nie klejnotów, ni srebra, ni złota pragnę, Birgitte.

Głaz ci z serca spada, jednakże na krótko.

Ptak się na ciebie rzuca. Jedynego potomka z rąk porywa. Krzyczysz, walczysz, wszystek wysiłek na nic. Kruk odlatuje z niemowlęciem w dziobie.

Cóż to za równina? Wygląda znajomo. Czy to nie tu...? Tak! To owo miejsce! Wciąż jeszcze widać poźółkłe, suche kości – tyle zostało z Hákona.

Dziecię w dziobie kruka kwili. Ptak kładzie swą zdobycz na ziemi, tuż obok szczątków króla. Przez chwilę patrzy na królewicza, po czym uderza. Z małej piersi krew tryska strumieniem. Ciało nieruchomieje, łkanie ustaje. Kruk w dziobie serduszko dziecięce trzyma. Łapczywie je pożera.

Wiatr po dolinie śmiech niesie, co brzmi niczym krakanie.

Cóż teraz uczynisz, Rykerze? Twój jedyny syn, dziedzic porwany przez bestię. Cóż uczynisz?

Pośpiesznie zbierasz drużynę – najdzielniejszych mężów, kwiat rycerstwa. Wyruszasz wraz z nimi na poszukiwanie porywacza. Liczysz, iż chłopca żywego odnajdziesz.

Wędrujecie długo, przemierzacie dziesiątki krain. Szukaliście potwora i go wypatrzyliście. Drogę zagradza wam olbrzym. Stwór bezlitosny, zbrojny w maczugę, żaden oręż się go nie ima. Chociaż rycerze mężni, rady dać mu nie mogą. Jeden po drugim pada. Wkrótce sam na placu boju zostajesz. Czujesz, iż sił ci zaczyna brakować. Czy przyjdzie ci tu umrzeć?

Wtem zjawia się Czarny Rycerz. Gołymi rękoma giganta obala. Mięśnie rozrywa, kości miażdży, gruby kark skręca.

– Wielkie ci dzięki, mości rycerzu – powiadasz. – Tobie zawdzięczam me życie. Odsłoń twarz skrytą przez przyłbicę. Zdradź swoje imię. Niech wiem, kto mym wybawcą.

– Wybaczcie mi, panie – rzecze, – nie mogę tego uczynić. Złożyłem śluby. Póki ich nie spełnię, nie wolno mi zdradzać mojego oblicza.

– Ocaliłeś mi dziś życie. Pragnąłbym się odwdzięczyć. Powiedz słowo, a obsypię cię złotem.

– Nie pożądam bogactwa.

– Czegóż zatem chcesz? Co mogę ci podarować?

– Od dawna już błąkam się po świecie – odpowiada. – Sam, bez domu. Nie mam nawet gdzie swej głowy złożyć. Pozwól mi iść ze sobą. Zabierz mnie na dwór swój.

Ty zaś Rykerze przytakujesz skwapliwie, ciesząc się, żeś się wykpił tak niskim kosztem. Nic sam nie dajesz, a potężnego sprzymierzeńca zyskujesz – tak jeno ci się wydaje.

Kimże jest ów rycerz tajemniczy? Czyż nie jest wspaniały? W walce nie ma sobie równych, wygrywa wszystkie turnieje. W potyczce na kopie samego króla Rykera pokonuje.

Wszystkie damy doń wzdychają. Ty również, nieprawdaż, Birgitte? Chociaż posiadasz małżonka, Czarnego Rycerza miłością występłą darzysz. Spokoju mu nie dajesz. Ciągłe nagabujesz. Mąż ten pokonał setki wrogów, lecz z tobą szans nie ma. W końcu ulega. Zostanie twym kochankiem. Odsłoni przyłbicę i wyjawi swe imię. Jednakże stawia warunek jeden. Obawia się, aby król was na grzechu nie pochwycił. Daje ci zioła nasenne. Masz je z napojem podać mężowi.

Zgadzasz się ochoczo. Mieszasz zioła z winem, kielich Rykerowi wręczasz. On, podstępnie nie upatrując, bierze czarę i

płyn wypija. Jak kamień zasypia.

Zjawia się Czarny Rycerz. Dopiero teraz lęk się w twym sercu rodzi. Co, jeśli twój mąż się zbudzi?

– Nie lękaj się swego małżonka, królowo – odpowiada. – On już nie powstanie. W najgłębszy ze snów zapadł.

To mówiąc, przyłbicę ściąga. Znasz go, prawda, Birgitte? Twarz upiornie blada, oczy zapadnięte w głąb czaszki. Mimo to go poznajesz.

– Jam jest król Hákon!

Cóż się dzieje? Czy to krzyczy królowa?

Do komnaty wpadają strażę. Pusto, nikogo nie ma. Pani Birgitte ani śladu.

Jeno wiatr za oknem niesie... trudno stwierdzić, śmiech ludzki to czy krakanie ptasie.



Tekst oryginalnie publikowany w: Dwumiesięcznik fantastyczno-kryminalny „Qfant” #13 - Styczeń 2012 - ISSN 2080-2633

Praca domowa



Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu. Odkąd sięgam pamięcią zawsze wiedziałam, co i jak napisać w pracy domowej, a tym razem usiadłam... i nic! Pustka! Zupełnie nie wiedziałam, o czym mam pisać.

Jeszcze raz przeczytałam temat. Brzmiał następująco: „Gdyby tobie miała się ukazać zjawy, co to byłaby za postać i co by przekazała”. Niestety dalej nie wiedziałam, co powinnam napisać, dlatego zrobiłam to, co zwykle robię w takich wypadkach. Zajrzałam do słownika. Hasło „zjawa” było wyjaśnione następująco: „widziadło, widmo, mara, widzenie senne”.

„Widzenie senne” to mi coś przypomina. – pomyślałam i poczułam, że olśnienie jest tuż, tuż, gdy...

– Pani, którędy na Grunwald?

Odwrociłam się. Mym oczom ukazała się półprzezroczysta postać rycerza. Ogarnęła mnie wściekłość. Pomysł na wypracowanie był tak blisko, a przez martwego od kilkuset lat faceta z garnkiem na głowie wszystko mi umknęło, dlatego zamiast dać duchowi mapę Polski fuknęłam:

– Prosto, a potem w lewo!

– Bóg zapłać – powiedział rycerz i zniknął.

Zrobiło mi się trochę głupio. Duch od ponad sześciuset lat szukał Grunwaldu, a ja tak go potraktowałam! Postanowiłam naprawić swój błąd i spróbowałam przywołać rycerza. Chyba jestem kiepskim medium, bo zamiast niego pojawił się Duch Kocmołuch.

– Czego? – spytał.

– Czy znasz rycerza, który był tu przed chwilą? – Co mi szkodziło zapytać?

– Nie! – odpowiedział.

– Pomógłbyś mi napisać opowiadanie? – spytałam z nadzieją.

– Ja niepisaty – mruknął i już go nie było.

Westchnęłam rozczarowana. Musiałam sama uporać się z pracą domową. Jednak czekała mnie przykra niespodzianka. Gdy byłam zajęta rozmową z Kocmołuchem, chochliki skorzystały z okazji i załęgły się na biurku. Tańczyły sobie teraz po moich papierach. Wzięłam głęboki wdech i spokojnie poprosiłam, aby sobie poszły. Nie poskutkowało. Chochliki zaczęły się śmiać i pokazywać mi pewne obraźliwe gesty. Zagroziłam, że jeśli za chwilę się nie wyniosą, to poszczuję je białymi myszkami. Poskutkowało. Wszystkie uciekły w panice.

Niestety, tego dnia nie było mi dane zaznać spokoju. Na stole pojawiły się dwie białe myszki.

- Wzywałaś nas? – spytały.
- Nie – jęknęłam.
- A mnie? – zapytał krasnoludek wychodząc spod szafy.
- Nie! – wrzasnęłam i rzuciłam w niego butem.

Był szybszy. Zdążył się uchylić. Białe myszki też gdzieś sobie poszły. Z szafy wystawił trąbę ciekawski różowy słoń, ale gdy zorientował się, że nie jestem w nastroju do zabawy, schował się z powrotem.

W tym momencie rozległo się stukanie, a przedmioty zaczęły unosić się w powietrzu. Tak zachowuje się tylko najbardziej irytujący duch na świecie – poltergeist. Ten typ zjawy przypomina małe dziecko. Jeśli go zignorujesz po kilku godzinach da ci spokój, jeżeli pokażesz mu, że jego zachowanie działa ci na nerwy, będzie dręczył przez długie miesiące. Na szczęście mam niezawodny sposób na poltergeista straszącego w moim domu.

– Skoro już tu jesteś, to czy mógłbyś skoczyć po mleko? – zapytałam – Właśnie się skończyło.

Stukanie umilkło. Przedmioty wróciły na swoje miejsca. Ilekroć go o coś proszę, poltergeist znika gdzieś na pół roku.

– Wypiję twoją krew! – syknął wampir materializując się tuż obok mnie.

Rzuciłam mu mordercze spojrzenie.

– Przepraszam – pisną przerażony.

Zmienił się w nietoperza i wyleciał przez uchylone okno. Biedaczek, nie zauważył, że jest piękny, słoneczny dzień. Po chwili została z niego tylko kupka popiołu.

Nie wiadomo kiedy zjawił się wilkołak. Zanim zdążył powiedzieć o, co mu chodzi, pogryzłam go dotkliwie. Uciekał jak niepyszny mrucząc pod nosem coś, co brzmiało jak:

– Ach, ta dzisiejsza młodzież! Jest taka nerwowa.

Odwiedzili mnie jeszcze: mumia Tutenchamona i zombie (pięknie płonęli po polaniu benzyną) oraz gliniany golem (rozleciał się dopiero po szóstym granacie).

Gdy wyciągałam wyrzutnię rakiet ziemia-powietrze, aby zestrzelić latający talerz wiszący w powietrzu tuż nad moim oknem, doszłam do wniosku, że tej pracy domowej to chyba dziś nie odrobię.



*Tekst oryginalnie publikowany w: „Widok z Wysokiego Zamku” nr 54
(czerwiec 2012)*

Łowy



– Alu, przestań! Przez ciebie się spóźnimy.

– Nie!

– Alu...

– NIE!

Szarpie po raz kolejny, usiłując się wyrwać. Mało mi ręki przy tym nie urywa. Zaskakujące, ile siły może kryć się w tak drobnym ciałku. Dochodzę do wniosku, że w ten sposób nic nie wskóram i zmieniam taktykę.

– Aludro – mówię spokojnie, acz stanowczo. To zwraca jej uwagę. Rzadko ma okazję słyszeć pełną wersję swego imienia. „Aludra” brzmi tak poważnie. Jakoś nikomu się nie kojarzy z dziewięcioletnią dziewczynką o włosach koloru pszenicy oraz buzi cherubinka. Moja siostra przestaje się wrywać.

Klękam tak, aby nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie.

– Aludro – powtarzam łagodnie. – Zauważyłaś, że mamusia jest ostatnio bardzo zmęczona, prawda?

Kiwa główką.

– I że nie ma dla nas zbyt wiele czasu?

Znów przytaknięcie.

– To dlatego, że odkąd tatuś poszedł do Bozi, mama musi bardzo dużo pracować. Kiedyś wystarczyło, że od czasu do czasu pomagała we dworze, a teraz... Zresztą, sama widziałas, ile ostatnio prania przyniosła.

– Całą górę. – Cieniutki dziecięcy głosik drży wyraźnie. – A potem, jak już skończyła prac, była bardzo zmęczona. Prawie tak jak tatuś zanim...

Ogromne orzechowe oczy wilgotnieją. Przytulam siostrę, zanim rozplącze się na dobre.

– Ciii, ciii. – Czuję gładzą złocistą główkę. – Spokojnie. Mamusia nie umrze. Po prostu musi trochę odpocząć.

– Ale...

– Ale gdyby Grosvenor przyjął mnie do terminu, przynosiłbym wam mnóstwo mięsa, skór, leśnych owoców, miodu, a nawet trochę monet. Wtedy mamusia nie musiałaby tak ciężko pracować i miałyby dla ciebie więcej czasu. Znowu uczyłaby cię gotować, opowiadała bajki i śpiewała, zupełnie tak jak kiedyś.

– Ale...

– Ale żeby zdobyć posiadłość u Grosvenora, potrzebuję twojej pomocy.

Alu momentalnie wyślizguje się z uścisku. Zwinna jest jak jaszczurka.

– Ale ty chcesz zabić konika!

No i masz, znowu się zaczyna.

Wzdycham. Już chyba z tysiąc razy tłumaczyłem, że to nie zaden konik, a ta dalej swoje. Konik, choćby dziki, z rogiem pośrodku czoła, to konik i już.

– Tatuś nigdy nie zabiłby konika – mówi, po dziecięcemu wydymając wargi.

– Bo tatuś nigdy nie był myśliwym – wyjaśniam cierpliwie, chociaż w środku aż się gotuję. – Ale za to łowił ryby, pamiętasz?

– To nie to samo!

– A właśnie, że to samo. Ryby umierały, a my jedliśmy ich mięso, z ości robiliśmy haczyki, ściągaliśmy skóry... – Na moment pogrążam się we wspomnieniach. Głos ojca tłumaczący mi oraz Psarasowi, iż żadnej części ryby nie wolno marnować, każdą można do czegoś wykorzystać. Jego ręce, ciemne, zniszczone pracą. Grube, a mimo to zręczne palce zakładające haczyk. Szeroki, szczerzy uśmiech. Potrząsam głową. Bez-sensowne wspomnianie przeszłości. Teraz nie ma ani ojca, ani Psarasa, ani naszych dwóch najmłodszych sióstr. Jesteśmy tylko my – matka, mała Aludra oraz ja, czternastoletni chłopak, głowa rodziny. Powiniennem pracować. MUSZĘ pracować. Dlatego trzeba wreszcie jakoś przekonać Alu.

Jednak ledwie otwieram usta, gdy dziewczynka mi

przerywa.

– Pamiętam. – Na pucułowatej buzi widnieje rozmarzony uśmiech. – Raz tatko złapał taką maciupcią rybkę, nie większą od mojego paluszka. Powiedział, że jest jeszcze za mała. Nie wolno krzywdzić małych rybek. Dlatego dał ją mnie. Trzymałam ją potem w wiaderku. Tak samo będzie z konikiem? Jak się okaże za mały, ty i mistrz Grosvenor go wypuścicie, tak?

– Ależ oczywiście – kłamię. – Chociaż wiesz co? Sądzę, że Grosvenor będzie tak wdzięczny za pomoc przy polowaniu, że zamiast po prostu wypuścić konika, pozwoli ci go zatrzymać.

Orzechowe oczka aż się zaświeciły.

– Będę miała własnego rogatego konika?

Patrzy z wyczekiwaniem, a do mnie wreszcie dociera, co właśnie powiedziałem. Równie dobrze mogłem obiecać gwiazdkę z nieba.

Mimo to przytakuję.

Teraz to Aludra ciągnie mnie. Cały czas podskakuje, podśpiewując:

– Dostanę konika! Dostanę rogatego konika!

Nie mam pojęcia, jak dotrzymam danej obietnicy. Wątpię,

aby młody myśliwy zechciał odstąpić jednorożca, choćby najmniejszego. Zresztą nawet gdyby. Gdzie go trzymać? Za co kupować paszę? Co taki jednoróg w ogóle je?

Postanawiam na razie o tym nie myśleć. Teraz liczy się tylko to, że wreszcie idziemy.

Gdy dochodzimy na umówione miejsce spotkania, momentalnie zapominam o wyrzutach sumienia. Wybiegam naprzód, aby przywitać się z Wilderem i Jaegerem. Co z tego, że dziś będziemy rywalami? To nie zmienia faktu, iż jesteśmy przyjaciółmi. Zresztą skakanie sobie do gardeł i tak nie miałyby sensu. Nieważne, komu uda się zabić jednorożca, bo to może świadczyć jedynie o szczęściu. Tymczasem Grosvenor, wybierając swego nowego terminatora, będzie się kierował dziesiątkami różnych kryteriów: charakterem kandydata, cierpliwością, talentem, umiejętnością kamuflażu bądź też sprawnością w posługiwaniu się łukiem. W dokonaniu wyboru może mu również pomóc boskie objawienie albo pogawędka z drzewem. Nie takie rzeczy już się zdarzały.

Od bliźniaków dzieli mnie nie więcej niż dziesięć kroków, kiedy wreszcie dostrzegam trzeciego chłopaka. Staję jak wryty.

Próbuję sobie wmówić, że to nie może być on, przecież wyjechał do miasta przeszło cztery miesiące temu. Niestety, tracę wszelkie złudzenia, gdy słyszę aż nazbyt znajomy głos. Głos człowieka, który poucza ptaki, jak latać, a ryby, jak pływać.

– Zwierzę dobrze oskórowane to zwierzę oskórowane na żywca.

Nimrod.

– O, Theron! – przemądrzalec udaje, iż dopiero mnie zauważył. Jednak zaskoczona mina średnio mu wychodzi, gdyż nie potrafi zapanować nad drwiącym uśmiechem. – Jakże się cieszę, że cię widzę. Myślałem, żeś już dawno wyjechał. Ale wiesz co, nie żałuj, że tego nie zrobiłeś. Wielkie miasto to tylko brud i smród. Okropne miejsce, nieodpowiednie dla kogoś takiego jak ja. Nie potrafili mnie tam docenić. Oczywiście, wuj błagał, ażebym został i dalej pomagał w prowadzeniu interesów, lecz już zdecydowałem. Moje serce należy do tej ziemi. Wróciłem, aby pójść w ślady mego szlachetnego ojca. Czyż to nie wspaniałe?

Burczę coś w odpowiedzi. Zastanawiam się, czy po prostu nie odwrócić się i nie uciec. Pewnie lada chwila Grosvenor oświadczy, iż próba została odwołana. Możemy sobie mieć dobre charaktery, nieprzebrane pokłady cierpliwości oraz wszelkie możliwe talenty, ale to Nimrod jest synem poprzedniego

myśliwego, nauczyciela Grosvenora. Nie zdziwię się specjalnie, jeśli ze względu na pamięć mistrza młody łowca wybierze właśnie jego.

Sądząc po kwaśnej minie, Wilder podziela moje obawy. Jedyne Jaeger, jak zawsze, zdaje się niczym nie przejmować. Wbija wzrok gdzieś w przestrzeń, uśmiechając się przy tym głupkowato. To nie jego wina. Od urodzin jest trochę powolny, ale nikt mu z tego powodu nie dokucza. Nimrod raz się odważył, dlatego teraz ma kilka zębów mniej. Wilder umie się bić, a dla brata jest gotów zrobić wszystko.

Przyznam szczerze, miałem cichą nadzieję, iż po tym laniu bezczelny chłopak wyprostuje się nieco. Niestety, okazuje się, że Nimrod jest jednym z tych ludzi, którzy nie potrafią uczyć się na błędach.

– Mimo wszystko – ciągnie – żal mi nieco wuja. Właśnie trafił się staruszkowi ogromny kontrakt, dzięki mnie, oczywiście. Zupełnie nie wiem, jak sobie biedaczek sam ze wszystkim poradzi. Nie chcę się chwalić, ale przez te kilka miesięcy stałem się jego prawą ręką. Chciał nawet wydziedziczyć swych rodzonych synów i wszystko przekazać mnie.

Tymczasem Alu podbiega do nas na tych swoich śmiesznych króciutkich nóżkach.

– O, cześć, Nimrod! – krzyczy najśłodszy, najnie-

winniejszym głosem, na jaki ją stać. – Czyli to jednak prawda, wuj rzeczywiście przegnał cię na cztery wiatry. Nie przejmuj się, prowadzenie kramu z warzywami wcale nie jest takie łatwe, każdemu mogło się nie udać. Naprawdę podpałiłeś cały targ? Ponoć wuj tak cię po tym przeklinał, aż kamienie pękały, zaś testament zmienił w taki sposób, abys nie dostał ani centa, chociaż jesteś jego jedynym męskim krewnym. Słyszałam, że krzyczał: „Wolę zostawić wszystko babom niż takiemu...”

Niedoszły sprzedawca warzyw czerwienieje coraz bardziej, a my (oprócz Jaegera, który jak zwykle nic nie rozumie) niemal się dusimy, usiłując stłumić śmiech. Wreszcie Nimrod wybucha:

– Co to ma być?! Czyżby Theron Mężny zląkł się jednej przerośniętej kozy i postanowił przyprowadzić obstawę? Strzeżcie się potwory, mała siostrzyczka nadchodzi! – Spogląda na mnie wyniośle. – Lepiej natychmiast odpraw ją do domu, Theronie Mężny. Łowy to nie miejsce dla dzieci. Nie możemy jej ze sobą zabrać.

– Musimy.

Aż podskakujemy z zaskoczenia (wszyscy, Jaeger także). Nie wiemy, kiedy nadszedł. Jestem pewien, że nie słyszałem żadnych kroków. Zupełnie jakby Grosvenor nagle wyrósł za naszymi plecami.

– Jednorogi – zaczyna wyjaśniać myśliwy – nie reagują na żadne przynęty. Jedyne nieskażona cnota jest w stanie je zwabić. Kiedy jednoróżec zwęszy dziewicę, natychmiast przybywa, aby złożyć łeb na jej kolanach. Jest przy tym tak otumaniony, iż nie wyczuwa zaczajonych w krzakach łowców.

Grosvenor. Czarne kręcone włosy, oczy jak węgle oraz ogorzała skóra. Zawsze wszystkie dziewczuchy za nim latały. Młody, bardzo młody, ledwie kilka wiosen starszy od nas. Sam byłby jeszcze tylko uczniem, gdyby nie nadszedł morowy wiatr, który zabrał ze sobą jego mistrza, rodziców Wildera i Jaegera, mego ojca oraz trójkę młodszego rodzeństwa, a także wielu innych mieszkańców wioski.

Nimrodowi nareszcie udaje się zamknąć do tej pory szeroko otwarte usta. Znów przybiera chwacką pozę.

– Dobrze, ale czy to... – Wskazuje na Alu. Dziewczynka próbuje ugryźć go w palec, jednak chybia. Szkoda. – W ogóle się liczy jako dziewica? Przecież ledwo toto od ziemi odrosło.

– A ma któryś z was starszą siostrę lub zna jakąś inną dziewicę?

Milczymy. Zaraza zabrała wielu. Zarówno mężów, jak i kobiety. Ci, którzy przeżyli, na gwałt starają się odbudować populację. Dosłownie.

– Ni-nimrod ma-a sio-sio-siostrę – ni stąd ni zowąd wy-

pala Jaeger.

Zapada bardzo nieprzyjemna cisza. Nawet owady przestają bzyczeć, a słońce jakby słabiej przyświeca. O starszej siostrze Nimroda nikt głośno nie wspomina. To ponoć ona sprowadziła morowe powietrze.

Milczenie wreszcie przerywa Grosvenor.

– Pójdźmy – mówi.

Wchodzimy w las.

Po drodze natrafiamy na polankę. Niewielka, słoneczna, niemal idealnie okrągła. Zupełnie jak na gobelinach i w balladach. Dlatego dziwię się, gdy mijamy ją bez słowa. Grosvenor udziela odpowiedzi, jeszcze zanim zadaję pytanie.

– Gdyby łowy na jednorożce były tak łatwe, jak opisują je bajki, na każdym ulicznym straganie można by było kupić skóry bielsze niż śnieg oraz cudowne rogi.

Idziemy dalej.

– Niebywałe!

- Wspaniałe!
- Śliczne!
- Ka-ka-kamień!
- Pff, nic specjalnego.

Myśliwy uśmiecha się po raz pierwszy od czasu zarazy.

- Dalej jest więcej.

Z zalem zostawiamy pokrytą mchem kolumnę, tak wielką, iż w pierwszej chwili wzięliśmy ją za prastare drzewo.

Wchodzimy jeszcze głębiej w las.

Grosvenor mówił prawdę. Im dalej w las, tym więcej ruin. Wkrótce staje się jasne, że to szczątki wielgachnego pałacu albo nawet całego miasta. Nie wiem, kto je zbudował, ale na pewno nie ludzie. Wszystko jest zbyt ogromne. Nigdy nie widziałem takich zdobień. Zdają się wić niczym węże. Niektóre przypominają oszalałe konie w pełnym galopie. Materiał, z którego zostały wykonane budowle, również jest dziwny. Owszem, słyszałem już o marmurze, ale to chyba nie to. Jest zdecydowanie zbyt ciepłe w dotyku.

Cisza.

Nie ma śpiewu ptaków ani brzęczenia owadów. Nawet drzewa nie szumią. Zupełnie jakby ta część lasu była martwa.

Nimrod nie byłby sobą, gdyby nie zakłócił panującego wokół spokoju.

– Ależ ludzie są głupi! Tylko spójrzcie na te kamulce. Tyle wspaniałego budulca marnuje się w lesie. Dlaczego jeszcze nikt go stąd nie zabrał?

– Kiedyś kilku postanowiło spróbować.

– I co?

– Nie wiadomo. Nikt ich więcej nie widział.

– Theron – szepcze Alu. – Boję się.

Ściskam maleńką dłoń, aby dodać siostrze odwagi.

Sobie też.

Mylilem się.

Powiedziałem wcześniej, że wokół panuje spokój.

Mylilem się.

Las na coś czeka.

Z dziedzińca nie pozostało prawie nic, ledwie kilka kamiennych płyt. Nieliczne kolumny są albo przewrócone, albo połamane, niemal całkowicie porośnięte mchem oraz bluszczem. Tylko pośrodku bieli się fontanna, zupełnie jakby zbudowano ją nie dalej jak wczoraj. W środku tryska najczystsza woda, jaką kiedykolwiek widzieliśmy. Grosvenor zabrania nam jej pić. Aludra ma usiąść na brzegu fontanny i czekać. Tymczasem my się ukryjemy. Wilder oraz Jaeger w pobliskich zaroślach, ja i Nimrod w krzakach po drugiej stronie, natomiast młody myśliwy za największą z ocalałych kolumn. Nim wykonam polecenie, sprawdzam, czy Alu naprawdę nie grozi upadek do zaklętej wody. Już mam odejść, gdy siostra chwyta mnie za rękaw.

– Theron. – Głos jej drży, a oczy ma wielkie jak spodki. – Theron, a co jeśli jednorożce mają tu w lesie taki sam świat jak my? Co jeśli to one zbudowały to wszystko?

Śmieję się, jednak jest to śmiech słaby oraz wymuszony.

– Nie pleć bzdur, Alu. – Głaszczę złocistą główkę. – To

tylko zwierzęta.

– Dokładnie – wtóruje ukryty w krzakach Nimrod. – To tylko głupie zwierzaki!

Łuki nie są napięte, jednak trzymamy je w pogotowiu. Wystarczy kilka sekund, aby nałożyć strzałę, wycelować i wystrzelić.

Czekamy.

Wreszcie nadchodzi jednoróg.

Nie jest podobny do stworzeń z gobelinów oraz baśni. Owszem, futro rzeczywiście ma bielsze od śniegu, lecz przypomina bardziej skrzyżowanie koźlątko z sarenką niż konia. Pośrodku czoła wyrasta mu niewielki róg, właściwie różek. Jest to chyba najbardziej urocze zwierzątko pod słońcem. Ostrożnie podchodzi do Alu, po czym składa łebek na jej kolanach. Moja siostra uśmiecha się po raz pierwszy, odkąd ruiny przestały zachwycać, a zaczęły przerażać. Drapie zwierzątko za uszkiem.

– Zupełnie jak w pieśniach – mamrocze Nimrod. – Ależ głupie te jednorożce.

Napina łuk.

Nie mogę na to pozwolić. Przecież obiecałem Aludrze. Sądząc po rogu, stworzenie nie ma nawet roku. Ojciec miał rację, może to nie jest ryba, ale nie wolno zabijać zbyt młodych sztuk, zwłaszcza na oczach dziewięcioletniej dziewczynki. Jak zareaguje Alu, gdy jej nowy czworonożny przyjaciel zmieni się w pokrytego strzałami jeża? Po czymś takim może się nie pozbierać do końca życia.

Do końca życia...

Gdy wyruszyliśmy na polowanie, sądziłem, iż jednoróg będzie dorównywał wielkością koniom. Tymczasem cel okazał się być nieco większy od psa. A Wilder oraz Jaeger nie najlepiej radzą sobie z łukiem, szczególnie Jaeger. Co, jeśli któryś z nich spudłuje? Co, jeśli ktoś trafi moją małą siostrzyczkę? Muszę przerwać łowy. Wstaję.

To ratuje mi życie.

Róg, który miał przebić plecy, tylko rozcina udo. Aludra zaczyna krzyczeć. Później wszystko dzieje się błyskawicznie, a zarazem powoli.

W łuku Nimroda pęka cięciwa. W moim też.

Grosvenor wpada pomiędzy nas a jednorożca. Nie

podobnego do kózki, milutkiego stworka – prawdziwego jednoroźca. Bestia przypomina nieco sarnę, ale taką, której ojciec był spotworniałym rumakiem bojowym.

– Uciekajcie! – wrzeszczy myśliwy.

Nimrod chwytą mnie i usiłuje holować. Nie stawiam oporu, ale i nie pomagam mu zbytnio. Nie mogę przestać patrzeć.

Widzę, jak potwór szarżuje na Grosvenora niczym byk. Młodzieniec robi zręczny unik.

Widzę, jak jednoróg staje dęba, próbując uderzyć myśliwego jednym z rozdwojonych kopyt. Znowu trafia w próżnię.

Widzę, jak Grosvenor rusza do ataku. Walczy dosyć długim sztyletem. Jego łuk leży kilka kroków dalej. Ciężka pękła identycznie jak u mnie oraz Nimroda.

Widzę, jak młody łowca usiłuje ciąć, jednak tam, gdzie sekundę wcześniej znajdował się brzuch zwierzęcia, teraz jest zad. Bestia kopie zupełnie jak koń.

Chrupot.

Widzę, jak Grosvenor pada zgięty pod dziwnym kątem.

Młazszący dźwięk. Z przeciwnej strony. Kolejny jednorożec. Jaeger leci do tyłu. Dziwne. Ludzka czaszka wygląda na taką twardą, a jego wgłębia się jak skorupka jajka. Wilder rusza na pomoc bratu. Wybałuszone oczy. Piana na ustach. Nie wie, co

robi. Lada moment sam się nadzieje na róg.

– Przestań wreszcie kontemplować widok i biegnij – cedzi Nimrod przez zaciśnięte zęby.

Biec.

Bardzo chciałbym, ale nie mogę. Noga pali żywym ogniem. Skóra wokół rany przybiera ohydny zielonkawy odcień. Marzę o tym, aby się położyć i zasnąć.

Zasnąć. Och, jakże łatwo byłoby zasnąć! Tym bardziej że krzyk wreszcie ucichł.

Krzyk ucichł.

– Alu... Alu! ALUDRA!

– Nie drzyj się, tylko biegnij!

– Moja siostra!

– Nic jej nie zrobią, jest dzie... Cholera!

Znikąd wyrasta przed nami jednoróg. Chyba ten sam, który mnie ranił, ponieważ ma tylko trochę krwi na rogu. Osuwam się na ziemię. Początkowo myślę, że Nimrod pozbył się zbędnego bagażu, po czym po prostu uciekł. Jednak wkrótce staje się jasne, jak bardzo się myliłem. Jak bardzo wszyscy się myliliśmy.

Nimrod, pyszałkowaty chłopak, z którego wszyscy drwiliśmy, któremu kilka lat temu Wilder wybił kilka zębów, na którego widok dziś rano zrobiłem kwaśną minę. Ten Nimrod

rzucił w jednorożca szyszką, a następnie zaczął uciekać, wściekle machając rękami.

Odciąga uwagę. Ode mnie.

Nie dobiega daleko. Dosłownie w ostatniej chwili wspina się na drzewo. Wykręcam się, jak mogę, aby dokładnie widzieć, co dzieje się z Nimrodem. Wreszcie udaje mi się usiąść. Dlatego widzę, jak wokół rogu oprawcy pojawia się migotliwa poświata. Nagle chłopakiem zaczyna targać niewidzialna siła. Nidoszły uczeń myśliwego z całej siły wczepia się palcami w korę, jednak nierówna walka nie trwa zbyt długo. Siła wreszcie odrywa Nimroda od pnia i unosi wysoko w powietrze. Jest taki zdumiony, kiedy na jego ciele pojawiają się nacięcia. Nie powinien się dziwić, przecież rano sam mówił: „Zwierzę dobrze oskórowane to zwierzę oskórowane na żywca”.

Siedzę sobie spokojnie i się wykrwawiam.

Skóra Nimroda kołysze się na wietrze, a jej były właściciel w niewyobrażalnych mękach zdycha na trawie. Nad krwawym strzępem stoją dwa jednorożgi. Wyglądają na bardzo zadowolone z siebie. Zastanawiam się, czy to samo spotkało moją małą Alu.

Nagle pojawia się kolejny jednorożec. Tego jeszcze nie

widziałem. W przeciwieństwie do innych nie jest pokryty krwią. Przystawia pysk do mojej twarzy. Czuję ciepłe powietrze bijące z jego nozdrzy. Nim jestem w stanie się przestraszyć, pochłania mnie kojąca ciemność.

– Leia, coś ty najlepszego zrobiła! – rzy Kartazona. – Przecież wiesz, że najlepiej ściągać skórę, gdy zwierzak jest ciepły, a krew krąży mu w żyłach.

– Wiem – odpowiada niesplamiona krwią jednorogini. – Dlatego, w przeciwieństwie do ciebie, nikogo nie zabiłam.

– Ale... – Kartazona znacząco spogląda w stronę nieruchomego człowieka.

– Śpi tylko. Bardzo głęboko, ale jedynie śpi. Teraz nic go nie boli.

– Ach, ty i ten twój equinitaryzm. Kompletnie nie znasz się na sporcie. Dobra, idę teraz oskórować tamtego z uszkodzoną głową. A o tego drugiego mnie nie obwiniaj, sam się wpakował na róg, głupi robak. Taka skóra, takie ładne trofeum, całkiem zniszczone.

Odchodzi, nieustannie gderając sama do siebie. Tymczasem Leia zwraca się do trzeciej jednorogini.

– Monokero...

– Tak, wiem. Zabiłam tego człowieka z nożem. Trzeba będzie ściągać skórę na zimno. Strasznie mi przykro.

– Nie o to mi chodzi. – Ze smutkiem patrzy na krwawy ochłap, który niegdyś był dzielnym, młodym samcem. – Mogłaś go chociaż znieczulić.

– Po co? Przecież to tylko dumny zwierzak?

Niespodziewanie zza drzewa wybiega niespełna roczny źrebak.

– Leia! Leia!

– Tak, braciszku?

Mały jednorozec w jednej chwili traci całą pewność siebie. Nerwowo przestępuje z kopytka na kopytko.

– Bo widzisz, umm...

Jest tak uroczy, że jednorogini nie może się powstrzymać. Czule szczypie młodszego brata w nasadę szyi.

– Doskonale się dzisiaj spisałeś, Re'em. I nie martw się, bardzo dobrze pamiętam, co obiecałam. Chodź, pójdziemy po twoją nagrodę.

W zbiorach muzeum The Cloisters znajdziesz setki, jeśli

nie tysiące unikalnych dzieł z okresu średniowiecza, jednakże wszystkie przyćmiewa wspaniały cykl siedmiu późnogotyckich gobelinów. Stanowią one coś w rodzaju komiksu. Każdy przedstawia inną scenę z pewnego wyjątkowego polowania. Zobaczysz pięciu myśliwych wkraczających do lasu wraz z psami, niczego nieświadomego jednorożca spokojnie nurzającego róg w fontannie, powoli zacieśniający się krąg prześladowców, zaszczute zwierzę przesadzające rzekę, następnie zagonione w ślepy zaułek, rogiem walczące o wolność, psa z rozprutym brzuchem, wreszcie okrutnie poranionego, pokonanego jednorożca wiedzionego do zamku. Ostatni, a zarazem najbardziej znany spośród arrasów przedstawia jednorożca w niewoli. Za okrągłym ogrodzeniem, pośród morza kwiatów, leży przykuty do drzewa przypominającego granatowiec. Wokół fruują niezliczone motyle oraz ważki. Chociaż cel stworzenia oraz wymowa owych siedmiu gobelinów do dziś pozostają niejasne, istnieje jeszcze Ósma Tapiseria, jeszcze bardziej tajemnicza.

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z jej istnienia. Możesz spędzić godziny w Sali Tapiserii Jednorożca. Możesz uważnie przeszukać wszystkie inne: Romanesque, Notre-Dame-de-Ponant, gotycką, Dziewięciu Herosów, Boppard, Campin, a także późnogotycką. Możesz cały obszar muzeum dokładnie zbadać przy pomocy lupy oraz satelity, a po zamknięciu włamać

się do skarbcza. Ósmej Tapiserii nie znajdziesz.

Możesz poszukać wejścia do rzekomo nieistniejących podziemi The Cloisters. Możesz nawet je znaleźć. Możesz natrafić w nich na dziwaczny sarkofag ozdobiony symbolem przywodzącym na myśl krzyż templariuszy. Możesz unieść kamienne wieko, o ile jesteś wystarczająco silny, oczywiście. Możesz z niejakim zdumieniem stwierdzić, iż w środku znajdują się prowadzące w dół schody. Możesz z nich skorzystać. Możesz znaleźć się w wiernej kopii labiryntu Minotaura. Możesz ominąć wszystkie starożytne pułapki oraz bardziej nowoczesne zabezpieczenia nieprzyjemnie przypominające te stosowane przez panów z Pentagonu. Możesz wreszcie dotrzeć do środka labiryntu. Możesz stanąć przed ogromnymi drzwiami pancernego sejfu. Możesz przypadkowo wpisać właściwą kombinację. Możesz do końca życia stać, gapiąc się na zgromadzone w środku skarby – cuda, które nie przyśniłyby się człowiekowi nawet po końskiej dawce narkotyków. Jednak wszystko na nic. Tam też nie ma Ósmej Tapiserii.

Ósma Tapiseria znajduje się w niewielkim, ciemnym pomieszczeniu wraz z innymi eksponatami czekającymi na renowację, lecz w przeciwieństwie do nich nigdy nie jest ani nie będzie wystawiona. Tylko leży i zbiera kurz. Pośród dziesiątków innych gobelinów oraz arrasów. Na wierzchu. Równie niewi-

doczna, jak skradziony list na taniej półce na kartki, testament leżący na biurku, biały kruk wciśnięty między zwykłe książki.

Na pierwszy rzut oka wydaje się być identyczną kopią ostatniej sceny *Polowania na jednorożca*. To samo ogrodzenie, kwiaty, drzewo, a także motyle i ważki. Jednakże już po chwili dostrzeżesz istotną różnicę.

Stworzeniem przykutym do pnia granatowca jest mała dziewczynka.



Tekst oryginalnie publikowany w: Magazyn Kultury Popularnej „Esensja” nr 6 (CXVIII) lipiec-sierpień 2012, ISSN 1641-3547

Waga czasu



Pustynne słońce prażyło niemiłosiernie. Budynek bazy zdawały się falować wraz z rozgrzaniem powietrza. Generał Brown zaklął, ocierając czoło.

– Przekłeta pogoda.

Wysiadł z wojskowej furgonetki. Niemal natychmiast znalazł się przy nim major Jenkins. Generał z zazdrością popatrzył na podwładnego. Młodemu mulatowi upał zdawał się w ogóle nie przeszkadzać.

– Meldujcie, majorze. Z reaktorem wszystko w porządku?

– Tak jest, sir. Za kwadrans powinniśmy mieć wystarczającą ilość mocy do wykonania eksperymentu.

– Doskonale, Jenkins. Prowadź.

Ruszyli po miękkim jak błoto asfalcie prosto w stronę nieciekawego z wyglądu budynku.

Oficjalnie generał Brown miał osobiście nadzorować rozruch reaktora nowej generacji. Najlepsze kłamstwo to takie, w którym znajduje się ziarno prawdy. Wiadomość o wysokim prawdopodobieństwie wybuchu jądrowego powinna skutecznie odstraszyć większość pismaków. Resztą zajmą się setki detektorów ruchu, a także patrole, zarówno lądowe jak i po-

wietrzne.

Wsiadli do windy. Major wcisnął guzik najniższego poziomu. Gdy nań dotarli, wsunął w ledwie widoczną szczelinę kartę identyfikacyjną. Zjechali sześć pięter niżej.

Przed wejściem do laboratorium musieli poddać się weryfikacji głosowej. Wreszcie pancerne drzwi rozsunęły się z sykiem. W środku uwijało się osiemnastu ludzi w białych kitlach. Wszyscy, co do jednego – nawet kobiety – okularnicy. Generałowi nie udało się powstrzymać grymasu obrzydzenia. Miał alergię na jajogłowych.

Od jaśniejącego blaskiem kontrolek panelu oderwał się jowialny staruszek.

– Ach, witam, generale.

– Profesorze Nowak...

– Proszę tylko spojrzeć. – Gestem kustosza prezentującego eksponaty staruszek wskazał zawartość laboratorium. Ogromną, większą od kilku hal sportowych przestrzeń w całości wypełniał sprzęt elektroniczny. Maszyny mrugały lampkami, wyświetlały cyferki, obracały zębatkami, wyły, piszczały, bzyczały, szumiały... Generał poczuł, że zaraz dostanie migreny. – Czyż to nie wspaniałe? Wszystko zbudowaliśmy od zera, stosując jedynie najnowsze zdobycze nauki, a kilka technologii wynaleźliśmy całkiem sami. Zwłaszcza in-

duktor temporalny nam się udał. Jednak nie można również zapomnieć o [niedorzecznie długa nazwa, dla zwykłych śmiertelników absolutnie niemożliwa do wymówienia], cudowna maszyna. Coś takiego nie śniło się nawet samemu [sześciocłonowe imię jakiegoś truposza, o którym Brown nigdy nie słyszał]. Chociaż trzeba przyznać, iż zasada działania okazała się być zaskakująco prosta. Całość opiera się wyłącznie na [wykład brzmiący jakby tłumacz chińsko-perski przekładał go z japońskiego na sanskryt]. To oczywiste, że [sześć zdań, w których nawet przecinki nie były oczywiste]. Każdy rozumie, iż [bełkot, który mógłby pojąć jedynie sam Bóg]. Oczywiście to nie całość wyposażenia. Część segmentów oraz podzespołów znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu. Na uwagę zasługuje także kwestia...

– Profesorze! – niemal ryknął wojskowy. Odchrząknął, po czym już spokojniej dodał: – Proszę wyjaśnić, co to tutaj robi. – Wskazał smoliście czarny sześcian rozmiarów dużego telewizora.

Wyraz twarzy naukowca nieodparcie przywodził na myśl zaskoczonego szczeniaczka. Szaroniebieskie oczy były jasne i czyste jak dwie porcelanowe kulki.

– Ale jak to... Przecież pan sam... Ja mówiłem, że faza testów jeszcze nie została zakończona. Lepiej byłoby z czymś

mniejszym. No, ale pan się uparł, żeby spróbować przenieść ciężar odpowiadający masie tej pańskiej dywizji. Przecież tu chodzi o setki tysięcy kilogramów! Skąd niby miałem wziąć taki balast? Jak go tutaj zmieścić? Dobrze, że udało mi się dogadać z McPhersonem z tego drugiego tajnego laboratorium, co je tutaj macie. Wie pan, tego, o którym nie powinienem wiedzieć. Tak więc McPherson dał mi trochę tej supersubstancji, nad którą pracują. Prawdziwe cudemko! W grę wchodzi chyba gęstość albo odległości międzyatomowe, nie do końca się orientuję, to nie moja specjalizacja. Tak czy siak, draństwo jest znacznie cięższe od ołowiu. Ten relatywnie niewielki blok waży dokładnie tyle, co pańska dywizja. Robi wrażenie, he? Ten McPherson to naprawdę łebski gość, aż trudno uwierzyć, że Amerykanin. Bez urazy.

– Nic się nie stało – zapewnił generał, szczerząc zęby. Starannie zanotował w pamięci, aby po zakończeniu testów na Nowaka i jego doktorantów nasłać urząd imigracyjny, a McPhersona oskarżyć o zdradę tajemnicy wojskowej. – Dobrze, ale w takim razie po co ten drugi sześcian?

– Na wszelki wypadek – do rozmowy włączył się jeden z asystentów profesora. Wyprostowana sylwetka, żywe ruchy, szczerą słowiańska twarz, promienny uśmiech, błyszczące oczy, a nawet strzecha złocistych włosów – wszystko aż promieniało

dziecięcym entuzjazmem oraz miłością do całego świata. Krótko mówiąc, chłopak wyglądał jak psychopata. – Gdyby Heinlein miał rację...

– Heinlein? – na swe nieszczęście zapytał Brown.

Stary naukowiec jakby tylko na to czekał.

– Teoria Heinleina, bla, bla, akcja i reakcja, bla, bla, trzecia zasada dynamiki Newtona, bla, bla, MV równa się mv , bla, bla, MT równe jest mt , bla, bla, potencjał czasowy, bla, bla, przestrzeń anizotropowa, bla, bla, krzywa tłumienia temporalnego, bla, bla, prosta równoległa do osi czasu, bla, bla.

Generał rzucił Jenkinsowi błagalne spojrzenie, lecz ten jedynie stał regulaminowo wyprostowany i przysłuchiwał się wszystkiemu ze spokojem, którego stoicy mogliby mu pozazdrościć. Pomoc nadeszła z mniej oczekiwanej strony.

– To taka teoria naukowa – zaczął tłumaczyć psychopatyczny doktorant. – Według niej masa zawsze musi zostać zrównoważona. W konsekwencji, kiedy wysyłamy w przeszłość dajmy na to ołówek, w przyszłość musi trafić obiekt o identycznym ciężarze. Od razu zaznaczam, niekoniecznie drugi ołówek. Po prostu coś, co waży dokładnie tyle samo. Nasze badania jeszcze tego nie potwierdziły, ale proszę pamiętać, do tej pory nie przesyłaliśmy niczego większego od jabłka. Przy tak dużej masie jak ta dzisiejsza może dojść do załamania kontinuum cza-

soprzestrennego... – Spostrzegł minę generała. – Ekhm, równoważenie masy może okazać się konieczne.

Brown nieco się zaniepokoił.

– To chyba nie będzie miało znaczącego wpływu na przydatność bojową urządzenia, prawda? Przecież można użyć nieco TAŃSZEGO balastu. – Wyraźnie zaakcentował przedostatnie słowo.

Asystent zmarszczył brwi.

– To nie takie proste. Czas to nie przestrzeń, przynajmniej nie w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Przeszłość, terażniejszość, przyszłość – to wszystko pojęcia całkowicie sztuczne. Dla porównania, przed Kopernikiem i jego teorią heliocentryczną ludzie sądzili, że to Słońce krąży wokół Ziemi, ponieważ z powierzchni obracającej się planety właśnie tak to wygląda. Podobnie jest z czasem. Wydaje się, że postrzegamy kierunek jego upływu, ale jedynie dlatego, gdyż jesteśmy w nim zanurzeni. Aby dokładnie zrozumieć naturę omawianego zjawiska, musieliśmy znaleźć się poza układem, a to niemożliwe. Nawet sporządzenie odpowiedniego modelu czy teorii nie wchodzi w rachubę. Po prostu przekracza to granice ludzkiego pojmowania. Właśnie z tego powodu na razie, podkreślam, na razie nie istnieje sposób, żeby określić, który z obiektów – hipotetyczna dywizja czy balast – trafi w przeszłość, a który w przyszłość.

– A co by się stało, gdyby tej masy nie zrównoważyć?

– Najprawdopodobniej? Powstałaby antymateria, a w najgorszym przypadku: miniaturowa czarna dziura, która wessałaby cały Układ Słoneczny.

– Hmm...

– To jak, panowie? Zaczynamy? – radośnie wtrącił profesor. Wyglądał jak dziecko tuż przed otwarciem bożonarodzeniowego prezentu. Chyba nie rozumiał, iż właśnie pod znakiem zapytania stanęła kwestia finansowania dalszych badań przez armię Stanów Zjednoczonych.

Wszyscy członkowie zespołu naukowego zajęli miejsca przy aparaturze. Nasiliły się wizgi oraz świergoty. Wojskowi oddalili się na bezpieczne pozycje. Padł komunikat o dostarczeniu przez reaktor odpowiedniej ilości mocy. Rozpoczęto odliczanie. Ręka starego profesora coraz bardziej zbliżała się do czerwonego guzika. Na czole Browna perlił się pot. Nie tylko on w napięciu oczekiwał na rezultat. Z dwudziestu osób zebranych w pomieszczeniu oznak zdenerwowania nie okazywały jedynie trzy: jak zawsze regulaminowo spokojny major, po dziecięcemu podniecony Nowak i jego jasnowłosego asystent, który dalej promieniał entuzjazmem oraz miłością.

Wreszcie stało się. Szybko i cicho, bez akompaniamentu huku czy fajerwerków. Generał przysięgłby, że mrugnął zale-

dwie raz, zamykając oczy na nie więcej niż ułamek sekundy. A jednak, kiedy znów je otworzył, sześcianu już nie było. Tylko jednego. Drugi czarny blok – mający pełnić funkcję balastu – stał na swoim miejscu.

Rozległy się wiwaty. Choć wypowiedane w wielu językach (niektórych bardzo dziwnych i szeleszczących), wszystkie wyrażały to samo. Heinlein się mylił. Żadne równoważenie masy nie jest konieczne. Armia dalej będzie wspierała eksperymenty. Nikt nie zostanie deportowany za Żelazną Kurtynę.

– To kładzie kres wielu zwariowanym teoriom. – Roześmiany doktorant psychopata przysunął się na nieprzyjemnie bliską odległość. Dowódca niemal czuł ciepło bijące z młodego ciała. – Ojej, panie generale, żeby pan wiedział, czegoż to ludzie nie wymyślali! Jedna dziewczyna nawet twierdziła, że wszechświat sam będzie dążyć do równowagi i przyśle nam tu coś z przeszłości. Zabawne, prawda?

Wtem z sąsiedniego pomieszczenia zaczęły dobiegać dziwaczne hałasy, jakby ludzkie krzyki, szcęk stali oraz brzęk tłuczonego szkła. Brown chciał posłać Jenkinsa na zwiad, lecz profesor Nowak go ubiegł.

– Janek – zwrócił się do promieniejącego doktoranta – idź, sprawdź, co się tam dzieje.

Chłopak tylko skinął głową, po czym żwawo ruszył w stronę drzwi. Wszedł. Nie minęła choćby minuta, gdy dosłownie wypadł z pomieszczenia. Ładnym łukiem przeleciał co najmniej półtora jarda, po czym, nieco gorszym stylem, wylądował na podłodze. Zaraz poderwał się na nogi i przywarł plecami do drzwi, usiłując zablokować je własnym ciałem. Już nie roztaczał wokół siebie aury entuzjazmu, zamiast tego był śmiertelnie biały.

– Pamiętacie IX legion rzymski, ten, który około 108 roku zaginął w Brytanii? Już wiemy, co się z nim stało.



Tekst oryginalnie publikowany w: Magazyn Kultury Popularnej „Esensja” nr 8 (CXX) październik 2012, ISSN 1641-3547

Tameris i Tlara



Gdzieś, a może nawet i kiedyś, żyło rodzeństwo. Chłopiec, a właściwie już młodzieniec, zwał się Tameris, zaś jego młodsza siostra nosiła imię Tlara. Byli sobie nawzajem bardzo drodzy. Nic w tym dziwnego, przecież na całym świecie nie mieli nikogo z wyjątkiem siebie. Matka zmarła przy wydaniu na świat dziewczynki, a po zaledwie dziewięciu latach ojciec dzieci do niej dołączył.

Jeśli wydaje się wam, że sieroty były nieszczęśliwe, to bardzo się mylicie. Rodzice zostawili im w spadku może nie jakąś fortunę, ale całkiem wystarczającą sumę oraz gospodarstwo. Oczywiście, rodzeństwo bardzo tęskniło za matką oraz ojcem, jednak mieli siebie nawzajem. Tak długo, jak byli razem, czuli się szczęśliwi. Niestety wszystko zmieniło się, gdy... ale nie uprzedzajmy biegu wydarzeń! Lepiej zacznijmy od samego początku.

Tego dnia Tameris wybrał się do lasu, na wszelki wypadek zabierając ze sobą łuk. Chociaż w gospodarstwie niczego im nie brakowało, odrobina dziczyzny stanowiłaby miłe urozmaicenie jadłospisu. Najwyraźniej Pani Szczęścia, Fortuna, postanowiła się doń uśmiechnąć, bo ledwie wszedł w gęstwinę, zobaczył przed sobą wspaniałego jelenia.

Nie było to jednak zwykłe zwierzę. Jego futro wydawało się być zrobione ze szczerzego złota, a poroże z czystego srebra. Młodzieniec, urzeczony pięknem rogowca, obserwował igrające w sierści promyki słońca. Oczami wyobraźni już widział zachwyty Tlary, gdy podaruje jej złotą skórę. Uważnie wycelował i strzelił. Strzała świsnęła, tnąc powietrze. Trafiony kozioł padł na ziemię. Młody łowca z dumą ruszył w stronę zdobyczy. Musiał się powstrzymać, aby nie podskakiwać ze szczęścia.

Niestety, często wraz z Fortuną kroczy jej bliźniacza siostra – Dola, Pani Losu.

Już wyciągał rękę po strzałę, aby wyciągnąć ją z szyi zwierzęcia, gdy te uniosło łeb i spojrzało prosto na niego wielkimi, brązowymi oczami.

– Gratuluję, chłopcze – rzekło. – Udało ci się ustrzelić Złotego Jelenia, króla tego lasu. Jednak, wierzaj mi, ma skóra oraz korona nie przyniosą ci szczęścia. Już wkrótce ty i twa siostra podzielicie mój los.

Po tych słowach kozioł wydał swe ostatnie tchnienie, a rogata głowa ciężko opadła na ziemię. Przerazony Tameris patrzył na swoją ofiarę. Początkowo chciał zostawić truchło i jak najszybciej uciec, lecz już po chwili zawstydził się swego tchórzostwa. Przecież nie mógł porzucić takiego skarbu, by zgnął w lesie. Z resztą, czego miał się bać? Może cała przepowiednia zwierzęcia mu się przewidziała? Tameris i Tlara byli młodzi, zdrowi i silni, dlaczego mieliby niedługo umrzeć? Zabrał więc szczątki Złotego Jelenia do domu. Siostra jak zwykle wybiegła mu na spotkanie.

– Spójrz, jaki skarb ci przynoszę – powiedział radośnie, pokazując swą zdobycz. Jednak piętnastoletnia dziewczyna nie podzielała jego entuzjazmu.

– Ah, po co go zabiłeś bracie? – jęknęła. – Był taki piękny!

– Właśnie – zgodził się. – Jego skóra będzie wspaniale wyglądać na naszej ścianie.

– Oj, czuję, że z tej śmierci będzie jakieś nieszczęście!

Czas pokazał, iż przeczucie nie myliło Tlary. Las, pozbawiony króla, począł marnieć. Potężne, zdrowe do tej pory drzewa, usychały i przewracały się z byle powodu. Wszystkie zwierzęta gdzieś znikły, a ptaki przestały śpiewać. Kochająca przyrodę dziewczynka, bardzo cierpiała z tego powodu. Jej brat pewnie też by się tym przejmował, jednak miał inne, większe

powody do zmartwień. Zdawało mu się, że w każdym podmuch wiatru, słych echo ostatnich słów rogacza, a podczas snu nawiedzały go wizje martwej Tlary. Tameris z każdym dniem stawał się coraz bledszy i chudszy. W końcu zdecydował, że ma tego dość. Postanowił wybrać się do Wyrocni.

Nie była to niebezpieczna droga, lecz za to bardzo daleka. Siostra próbowała go powstrzymać. Nie chciała się z nim rozstawać na tak długo. Jednak młodzieniec był zbyt zdesperowany by słuchać. Zabrał złotą skórę oraz srebrne poroże, po czym wyruszył, nie żegnając się z Tlarą.

Po wielu miesiącu wędrówki, w końcu dotarł na miejsce. Zaproponował Wyrocni, iż w zamian za odpowiedź na jedno pytanie odda jej oba trofea. Warunki zostały zaakceptowane.

– Co będzie przyczyną śmierci mojej siostry? – spytał, wciąż mając w głowie obrazy martwej Tlary.

– Przyczyną jej zguby... – zaczęła Wyrocznia. Jej głos odbijał się echem od ścian jaskini. Wokół unosiły się kłęby dymu, choć nikt nie palił ognia. – ...będziesz ty sam.

Chociaż Tameris zaklinał się na wszystko, składał obietnice, na przemian błagał i groził, nie powiedziano mu nic więcej.

W akcie desperacji nawet zaatakował strażników strzegących Wyroczni, lecz osiągnął tylko tyle, że posiniaczonego wyrzucono go na zewnątrz i zabroniono kiedykolwiek wracać. Zrozpaczony ruszył w powrotną drogę do domu. Idąc, rozmyślał, rozpaczliwie usiłując znaleźć jakiegokolwiek wyjście z sytuacji, lecz bardzo długo nic nie przychodziło mu do głowy. Olśnienie nadeszło dopiero, kiedy z daleka zobaczył Tlarę.

Dziewczyna nie zauważyła go. Pochylona, zrywała kwiaty w przydomowym ogródku. Robiła to z wielkim zapałem oraz uśmiechem na twarzy. Obliczyła, że jej ukochany brat powinien niedługo wrócić. Chciała podarować mu największy i najpiękniejszy bukiet na całym świecie. Miała nadzieje, że Wyrocznia udzieliła mu pomyślnej odpowiedzi i teraz wszystko będzie tak jak kiedyś.

Tameris obserwował ją ze smutkiem. Serce ścisnęło go boleśnie na myśl, iż ten mały promyczek, jego siostrzyczka zginie. Postanowił za wszelką cenę, do tego nie dopuścić. Nawet jeśli miałyby go to kosztować życie. Właśnie wtedy zrozumiał, co należy uczynić.

Wszedł do lasu, a właściwie tego, co z niego zostało. Czarne, martwe drzewa o nagich, smętnie powykręcanych konarach w niczym nie przypominały wesołej, żywej, zielonej kniei sprzed kilku miesięcy. Z dużym trudem, ale jednak udało mu się

odszukać miejsce, w którym ustrzelił Złotego Jelenia. Wyciągną sztylet. Klinga była długa i ostra. Broń zdawała się szeptać:

– Nie bój się, młodzieńcze. Zadam ci szybką śmierć. Nie będziesz cierpieć.

Nie myśląc wiele, podciął sobie żyły, najpierw na prawej, następnie na lewej ręce. Prawie nie poczuł bólu. Umierając, miał uśmiech na ustach. Wierzył, że w ten sposób ratuje swą siostrę. Martwy nie zdoła sprowadzić na nią zguby. Pograżony w radosnych myślach wydał swe ostatnie technienie.

Wiedziona dziwnym przeczuciem Tlara weszła do lasu. Widok cmentarzyska drzew, w które zmienił się niegdyś tętniący życiem las, przyprawił ją o ból serca. Już miała zawrócić, kiedy dostrzegła leżące w kałuży krwi ciało. Z przerażeniem rozpoznała swojego brata.

– Tameris! – wykrzyknęła, podbiegając do nieruchomej postaci. – Braciszku kochany, błagam, zbudź się!

Minęło wiele czasu nim dotarło do niej, że brat już nigdy nie otworzy oczu. W tym momencie jej serce umarło, jedynie pusta skorupa ciała klęczała obok jej ukochanego Tamerisa. Delikatnie wyciągnęła sztylet z zastygłych palców. Czule pogładziła ostrze.

– Już idę, braciszku – szepnęła, po czym wbiła je sobie prosto w serce.

Dziewczyna niczym ścięty kwiat opadła na nieruchomą
pierz młodzieńca. Umarła z uśmiechem na twarzy.

Przepowiednia się spełniła.

Obecnie las znów kipi życiem. Roi się w nim od zwierząt,
drzewa pięknie się zielenią, a ptaki bezustannie radonie świergo-
czą. Tylko jedna polana wydaje się być cicha i martwa, jakby
pogrążona w żałobie. Od czasu do czasu można na niej dostrzec
widmo pięknej dziewczyny. To Tlara czeka na swego brata. Nie
smuci się. Wie, że Tameris w końcu wróci i znów będą razem.
Już na zawsze.



*Tekst oryginalnie publikowany w: LIBERTAS - miesięcznik ludzi wolnych nr
54 - listopad 2012, ISSN: 1689-6688*

Spis treści

Valravn	5
Praca domowa	15
Łowy	21
Waga czasu	47
Tameris i Tlara	59



Dziękujemy za lekturę!



Jeśli chciałbyś, aby Twoja książka ukazała się w formie –
takiego jak ten – e-booka, odwiedź bloga Wydawcy:

www.marta-tarasiuk.blogspot.com

Zdradziecko zamordowany król, nastolatka zmagająca się z pracą domową, myśliwi zasadzający się na nietypową zwierzynę, naukowcy prowadzący tajne badania dla wojska oraz przepowiednia wypowiedziana przez magicznego jelenia.

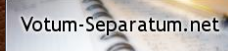
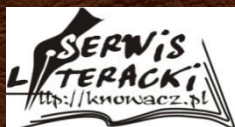
Pięć różnych historii, a każda z nich całkiem inna.

Czy będziesz miał odwagę je poznać?



Marta Tarasiuk – Prawdopodobnie istota ludzka, rocznik 1991. Najczęstsze miejsca występowania: białostockie księgarnie i antykwariaty. Uzależniona od książek oraz czekolady. Potwornie leniwa, średnio rozgarnięta. Dość często myli lewą rękę z prawą nogą. Jedyna mapa, którą potrafi przeczytać, to ta w galerii handlowej – i to jedynie pod warunkiem, iż jest na niej wielki napis „TU JESTEŚ”. Ma irytujący zwyczaj nieodbierania telefonów, odpowiadanie na maile zajmuje jej całe milenia, a czas wolny (zajęty zresztą też) spędza na robieniu nie tego, co trzeba. Z niewiadomych powodów posiada własną stronę internetową: maerafey.bnx.pl, a przyjaciele zmusili ją do założenia konta na Facebooku.

Patronaty



ISBN: 978-83-936594-0-1